ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 20-go Maja 1897. Nr. 20.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

V.

Ofiara.

Wracając z katakumb do miasta, przyłączyła się Walerya do Ireny, która również spostrzegła, jak wielka zmiana dokonywała się w Rufinie. Pełne serdecznej radości, rozważały obie niewiasty, co czynić, aby wschodzącą roślinkę wiary zabezpieczyć przed pyłem publicznego życia i uciążliwemi troskami urzędu.

O tem rozmawiając, zbliżyły się do mostu Emilijskiego, gdzie uwagę ich zwrócił wielki statek handlowy, który właśnie u stóp Awentynu zarzucał kotwicę. Walerya przypomniała sobie, że ojciec z niecierpliwością oczekiwał przybycia z Egiptu okrętu ze zbożem.

Niezadługo przybyły obie niewiasty do części miasta, zwanej Zatybrzem, gdzie wtedy, jak i dzisiaj jeszcze przeważnie uboższa ludność mieszkała. Nie często zabłąkał się tu dotąd patrycyusz a jeszcze rzadziej bogata pani. Lecz Walerya i Irena były tu dobrze znane i z wielką miłością i szacunkiem witane przez biednych tej dzielnicy.

Grabarz Minciusz zamieszkiwał z żoną Rustyką i ociemniałą matką ubogie, lecz bardzo czysto i schludnie utrzymane mieszkanie. Słońce zaglądało wesoło okienkiem, przed którem kwitnęły astry i czerwieniły się rajskie jabłka; kruk, którego Minciusz mówić nauczył, powtarzał od czasu do czasu: Ave Rustica! Dzień dobry, Rustyko!«

Rustyka siedziała przy warsztacie tkackim; obok w kołysce spoczywała dziecina. Niewidoma matka przędła, palcami prawej ręki z kądzieli nitkę tworząc i naplatając ją na wrzeciono, krążące w kółko po podłodze; przędła z taką pewnością i zręcznością, że nikt nie byłby zmiarkował, iż prządka jest niewidomą.

Gdy Irena Rustykę łagodnie zganiła, że wykonuje pracę dla jej stanu zdrowia za nużącą, odpowiedziała młoda matka:

— Cztery całe dni nie pracowałam wcale, muszę to teraz nagrodzić. Gdy się znużę, natenczas spojrzę na tego małego urwisza w kołysce i wtedy mi się zdaje, że siedzę przy żłóbku w Betlejemie, w którym także taki chłopczyk leżał, co był Bogiem: ta myśl sprawia, że praca mi lekką bywa.

Mówiąc to Rustyka, zaprzestała na chwilę pracy i wpatrzyła się z najczulszą radością matki na twarzy w uśpioną dziecinę.

— Położyłam mego pierworodnego, — tak mówiła uszczęśliwiona Rustyka dalej, — w duchu do stópek Jezusa w żłóbku i prosiłam Matkę Boską, ażeby

czasem łaskawy wzrok na niego rzuciła: wzrok ten musi przeniknąć młode serduszko. A Józef, tak wiernie boskiego Dzieciątka strzegący, wyciągnie także rękę nad moim małym.

To powiedziawszy odkryła Rustyka koniec kołyski przy głowie dziecka i pokazała obu niewiastom z uśmiechem pełnym szczęścia obrazeczek przylepiony na ścianie kołyski, nad główką dziecka, przedstawiający stajenkę Betlejemską.

Wtem wszedł Minciusz. Gdy ujrzał Waleryą, zmięszał się i pobladł. Po chwili wziął obie niewiasty na stronę i rzekł:

— Zdaje mi się, szlachetna Waleryo, że ojciec twój życzy sobie, abyś niebawem do domu wróciła.

— Mój ojciec? — zawołało dziewczę, blednąc. — Przed pół godziną rozstaliśmy się z nim przy Palatynie; mów, co się z nim stało?

— Jeden z sług twoich spotkał mnie, — odrzekł Minciusz, — i pytał się, czy nie wiem, gdzie pani jego się znajduje. Z tego wnoszę, że ciebie szukają.

Ta wiadomość spowodowała obie niewiasty, że się wnet oddaliły. Minciusz spoglądał za niemi pełen smutku i rzekł sam do siebie:

— Biedna dziewico, oby ci niebo udzieliło siły do noszenia krzyża, który ci na barki wkłada.

Minciusz wracając z katakumb, przechodził przez forum czyli główny rynek i widział, jak Rufina do mamertyńskiego więzienia prowadzono i jak służba pełna trwogi szukała córki uwięzionego.

Któż opisze boleść Waleryi, gdy przybywszy do domu o uwięzieniu ojca się dowiedziała! Przez chwilę była jak skamieniała i gdyby nie Irena, byłaby upadła na ziemię. Irena wzięła ją jak matka w objęcia i utuliła. Wiedziano, co to znaczy być uwięzionym przez Maksencyusza: to pewna śmierć! Wczoraj Walerya straciła matkę, dzisiaj ojca: czyż mogło być dla niej większe nieszczęście?

A gdy Rufinus będzie musiał umrzeć, zanim zostanie chrześcianinem! Po długoletniem wzdryganiu się, uczynił pierwszy krok ku bramom zbawienia; czyżby śmierć teraz miała zniszczyć most, zanim na niego wejdzie?

Ojca uratować, przynajmniej duszę jego uratować za każdą cenę, to było jedyną myślą, która obecnie przemożną siłą ducha Waleryi ogarnęła i prawie nadludzkiej mocy jej dodała.

Irena radziła spróbować, czyby się nie udało przekupić dozórców więzienia i w ten sposób dostać się do więźnia.

Zabrawszy dużo pieniędzy, udały się obie niewiasty przez forum do mamertyńskiego więzienia.

Lecz dozórca nie dał się przekupić, nie przyjął pieniędzy i nie wpuścił proszących do Rufina. Nakoniec rzekł:

— Zwróćcie się do prefekta kancelaryi cesarskiej Herakliusza. Tylko za jego pozwoleniem mogę was wpuścić do więzienia. Lecz lepiej by było, — dodał z współczuciem, — gdybyście do niego nie chodziły.

Gdy Irena usłyszała imię prefekta, westchnęła, bo od tego człowieka trudno się było czego dobrego spodziewać.

— Znasz prefekta kancelaryi, Herakliusza? — zapytała Walerya Ireny.

— Niestety aż nadto dobrze go znam, — odpowiedziała Irena smutnie. — Nie jestto nikt inny, jak ten nieszczęsny, który w zaprzeszłym roku stanął na czele tych, co podczas prześladowania Dyoklecyana od wiary chrześciańskiej odpadli, aby na biskupie Euzebiuszu wymódz przyjęcie ich znowu między chrześcian bez pokuty. Przypominasz sobie, że z bronią w ręku wdarli się do kościelnego zebrania i dom Boży krwią braci zbeszcześcili.

— Lecz czyż cesarz nie wypędził go razem z ojcem świętym z Rzymu na wygnanie? — zapytała Walerya.

— Tak jest, lecz Maksencyuszowi przydać się mógł taki człowiek, przeto po pewnym czasie go ułaskawił, powołał do tajnej swojej kancelaryi i zamianował po kilku tygodniach prefek-

tem. Jak dużo dobrego mógłby ten człowiek zdziałać za pomocą wielkich swoich zdolności! A teraz nadużywa ich, aby służyć złemu i prześladować Kościół Chrystusowy.

Jakkolwiek pobożne serce Waleryi czuło wstręt do odstępcy, nie pozostało jej nic innego, jak się do niego zwrócić. Skoro Herakliusz tak wielki wpływ na cesarza wywierał, natenczas jedno słowo jego wystarczy, aby ojca uratować; miała nadzieję, że wielka miłość do ojca uczyni ją tak wymowną, iż serce prefekta wzruszy się na jej prośbę. Ani ona, ani Irena nie wiedziały o nienawiści, jaką Herakliusz żywił dla prefekta; nie domyślały się też, że uwięzienie Rufina głównie jego było dziełem. Irena towarzyszyła Waleryi aż do mieszkania prefekta w skrzydle cesarskiego pałacu.

Gdy Walerya weszła do wnętrza, zapytała odźwiernego.

— Czy mogę mówić z szlachetnym Herakliuszem, prefektem kancelaryi cesarskiej?

Odźwierny spojrzał na nią z góry i odpowiedział po chwili:

— Pan mój zakazał wpuszczać kogokolwiek do siebie.

— Lecz ja muszę się z nim widzieć, — odpowiedziała Walerya; — idź mu oznajmić o tem.

Niewolnik wzdrygnął ramionami, nie odpowiedziawszy ani słowa i oparł się niedbale o oddrzwia.

Wtedy wydobyła Walerya kilka złotych pieniędzy a ich dźwięk wywarł skutek nadzwyczajny.

— Czy chciałaś mówić z moim panem, szlachetna pani? — zapytał nagle odźwierny nader uprzejmie, odbierając zręcznie podane mu przez Waleryą pieniądze. — Zaprowadzę cię do jego syna, Sabina. Przekonaj się, czy go zdołasz nakłonić, ażeby szedł z tobą do ojca. Tam oto stoi w przedsionku z kilku towarzyszami.

Nieśmiało zbliżyła się Walerya do gromadki młodzieńców którzy tam stali, śmiejąc się i żartując. Na zapytanie o syna prefekta, przedstawił jej się paradnie ubrany i olejkami pachnący młodzieniec, w którym Walerya natychmiast rozpoznała tego, co przeszłej nocy w zuchwały sposób pochód pogrzebowy niepokoił. Skłonił się nisko i zapytał, czegoby sobie pani życzyła.

Dziewica powiedziała mu, kim jest i z czem przychodzi.

— Tak, — zawołał Sabinus, — więc owa mężna niewiasta, która sobie mieczem piersi przebiła, jest twoją matką! Z podziwienia dla tej nowej Lukrecyi chętnie spełnię życzenie jej pięknej córy. Wprawdzie obecnie ojciec nikogo nie przyjmuje, lecz dla ciebie uczyni wyjątek.

Myśl o uratowaniu ojca ogarnęła Waleryę tak bardzo, że w słowach Sabina niczego nie słyszała, jak że z nią współczuje i prośbę jej spełni.

Niebawem udali się oboje do kancelaryi Herakliusza. Byłto mężczyzna przeszło pięćdziesiąt lat liczący; sucha, koścista twarz z małemi, przenikliwemi oczkami i wązkiemi wargami nie wzbudzała zaufania.

Sabinus przedstawił ojcu młodą dziewicę, a potem cofnąwszy się w głąb, czekał z ciekawością, z czem do ojca jego przychodzi córka prefekta Rzymu, której piękność na pierwszy rzut oka go zachwyciła.

Walerya zaczęła mówić:

— Przebacz, szlachetny panie, że ośmielam się przedłożyć ci prośbę.

— Przeszkadzasz mi rzeczywiście w moich zatrudnieniach; — odpowiedział opryskliwie Herakliusz, odwracając twarz od przybyłej. Właśnie bowiem był on zajęty tem, kogo z patrycyuszów wplątać w rzekomy spisek Rufina: któż mógł mu być mniej na rękę w tej chwili, jak córka tego męża, który go dzisiaj po raz trzeci tak bardzo obraził? Głos sumienia, przebudzony słowami Rufina w sądzie, już »szczęśliwie« w Herakliuszu zamilkł.

— Życie mego ojca, szlachetny Herakliuszu, — mówiło dalej strwożone dziewczę, — jest w twojej mocy; ty jeden możesz go uratować, jeśli będziesz chciał.

Potem zaczęła Walerya zapewniać w tak wzruszających słowach o niewinności ojca, prosiła tak serdecznie i szczerze o jego życie, że słowa jej, jak sądziła, mogły były kamień poruszyć. Nawet Sabinus, mniej zepsuty, niż lekkomyślny, nie mógł utaić współczucia, gdy Walerya na końcu do nóg prefekta się rzuciwszy, kolana jego objęła i całą siłą gorącej miłości serca swego błagała twardego człowieka o zmiłowanie.

Lecz prefekt udawał, jakby jej wcale nie widział, a gdy ciągłe jej prośby mu się sprzykrzyły, rzekł zimno i bez litości:

— Wiedz, że łzy kobiece nie mają ciężaru na wadze sprawiedliwości. A teraz nie przeszkadzaj mi dłużej.

Wzdychając żałośnie powstała, Walerya z kolan i wyszła z spuszczoną głową i złamanem sercem.

Sabinus poszedł za nią.

— Na Jowisza, — rzekł za drzwiami, — mój ojciec postąpił sobie z tobą niegodnie. Lecz jeżeli mu ofiarujesz tyle złotych pieniędzy, ile łez, natenczas chcę być hipopotamem (koniem rzecznym), jeżeli ci przynajmniej ojca w więzieniu zobaczyć nie pozwoli.

— Mam przy sobie worek ze złotem, — odpowiedziała Walerya; — czy mogę cię prosić, abyś mi przynajmniej tę łaskę u ojca wyprosił?

Sabinus namyślał się chwilę, potem pochwycił worek i chowając go, rzekł:

— Teraz ojciec mój nie jest w tem usposobieniu, abym mu mógł prośbę twoję przedłożyć; lecz ja sam zaprowadzę cię do więzienia i spróbuję, czy mi się nie uda, wpuścić cię aż do więźnia. Potem uspokoję ojca mego twoim podarkiem, że się nie będzie gniewał o mój postępek.

Walerya podziękowała młodzieńcowi, z radością; nie dała przy tem poznać po sobie, że nie dowierza, aby Sabinus pieniądze ojcu oddał.

W przedsionku szepnął syn prefekta kilka słów do towarzyszów, z czego ci się rozśmiali, potem udał się z Waleryą ulicami Palatynu ku wspaniałym schodom, prowadzącym na forum a przeszedłszy obok świątyni Julii, zbudowanej przez Cezara, skierował kroki ku więzieniu mamertyńskiemu u stóp Kapitolu.

Podczas gdy szli, starał się Sabinus zabawiać Waleryą rozmową bardzo grzeczną i pocieszać ją nadzieją, że sądy niezawodnie ojca jej uwolnią. Ażeby myśl jej od tej smutnej sprawy odwieść, opowiadał jej o swoich podróżach dalekich i pobycie w Egipcie. Dziwił się też wielce, że nigdy jej dotąd jeszcze nie widział na dworskich balach i w salonach arystokratycznych oraz uważał, iż to rzecz nieznośna, gdy tak piękna dama w samotności i zaciszu przekwita.

Walerya zajęta jedynie myślą o ojcu, nie zważała na to, co towarzysz do niej mówił. Musiała się zgoła przymuszać, aby odpowiadać uprzejmie na zapytania tego, od którego zależało, czy się z ojcem zobaczyć będzie mogła.

Praepositus czyli główny dozórca więzienia nie chciał zrazu o niczem słyszeć, zastawiając się tem, że musi otrzymać piśmienny rozkaz, lecz nakoniec udało się Sabinusowi wyjednać dla Waleryi pozwolenie na półgodzinną rozmowę z ojcem.

Nadzwyczajna piękność Waleryi, jej smutek z powodu uwięzienia ojca, po tragicznej śmierci matki, serdeczność, z jaką Sabinowi za wyświadczoną łaskę dziękowała, to wszystko wzbudziło niezwykłe współczucie w Sabinie dla pięknej dziewicy i gdy wracał ku domowi, zaprzątały głowę jego różne myśli.

Przeszłej wiosny ukończył on nauki w szkole w Aleksandryi w Egipcie i wrócił do Rzymu nie na to, jak ojciec się spodziewał, aby się poświęcić służbie rządowej, lecz aby w Rzymie, stolicy świata, użyć wszystkiego, czego w Aleksandryi zaledwie w części użyć mógł.

Ponieważ Sabinus nie chciał wstąpić do kancelaryi cesarskiej, przeto Herakliusz postarał mu się u cesarza o urząd pierwszego dozórcy przy nowych budowlach rządowych; jakkolwiek o budownictwie nie miał wyobrażenia, ojciec przypuszczał jednak, że z czasem za-

miłowania nabierze. Lecz zawiódł się, bo niebawem zaczęły nadchodzić liczne skargi na syna a gdy ojciec z tego powodu zarzuty mu czynił, odpowiedział synalek, że woli pieczeń zajadać, niż być kucharzem. Natomiast znalazł syn bogatego urzędnika dworskiego między złotą młodzieżą w Rzymie wielu towarzyszów, z którymi przy kostkach i ucztach pijackich noce spędzał.

Z tych powodów stósunki między ojcem a synem nie były dobre i Sabinus pragnął wyrwać się z rodzicielskiego domu. Teraz zdawało mu się, że nadeszła stósowna pora: Walerya mogła stać się jego żoną. Czyżby dla Rufina ręka córki miała być za wysoką ceną, ażeby wobec śmierci życie, stanowisko i wszystkie swoje bogactwa zachować? A jemu, synowi dorobkiewicza, czyż zdarzy się kiedykolwiek tak świetne i znakomite małżeństwo? Ojciec jego może więźnia uratować, a Sabinus liczył na pomoc matki, która potrafi Herakliusza skłonić do tego. Wprawdzie nie zapomniał o wielkiej nienawiści ojca swego do Rufina; lecz warto o tem zapomnieć, gdy można zostać teściem córki takiego Aradiusza Rufina. Zajście przy pogrzebie przeszłej nocy wcale mu na myśl nie przyszło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zkąd pochodzi wiara Mahometa?

Arabowie są narodem tak dawnym jak żydzi i pokrewni im. Należą oni do rasy białej, chociaż od upału słonecznego mają cerę ogorzałą, znacznie ciemniejszą od naszej. Pochodzą od Sema, najstarszego syna Noego, a połowa ich uważa się nawet za potomków Abrahama, ojca żydów, którego pamięć czczą bardzo wszyscy. Niedaleko od morza Czerwonego jest miasto Mekka, uważane za święte, ponieważ znajduje się w niem duży kamień, na ktorym pozostał niby ślad stopy Abrahama. Arabowie od niepamiętnych czasów odbywali pielgrzymki do tego kamienia, całowali go i modlili się przy nim. Nie wiedzieli oni jednak o Bogu prawdziwym, byli bałwochwalcami, modlili się do gwiazd, księżyca, albo znowu do ognia i do bałwanów. I przy owym kamieniu mnóstwo bałwanów niegdyś stało. O Arabach mało kto wiedział wtedy na świecie. Jedni z nich siedzieli na miejscu, trudniąc się rolnictwem, a drudzy wciąż wędrowali po pustyni, szukając pastwisk dla swych koni, trzód i rabując, co się nadarzyło po drodze. Wszystkim im jednak wystarczała własna ojczyzna, po cudzych krajach się nie rozpraszali.

Tak było aż do Mahometa, który się zjawił pod koniec szóstego wieku po narodzeniu Chrystusa Pana. Dzieckiem jeszcze będąc Mahomet osierociał i wychowywał się w Mekce u swego stryja, klucznika świątyni otaczającej ów święty kamień. Potem za młodu służył u bogatych kupców, którzy go wysyłali z towarami lub po towary w dalekie strony, nawet do obcych krajów. W tych podróżach spotykając żydów i chrześcian, dowiedział się o jedynym Bogu, o Chrystusie. Mając lat 25 ożenił się ze swoją bogatą gospodynią, wdową, znacznie starszą, której brat był chrześcianinem. Mając chleb gotowy nie potrzebował pracować i oddał się modlitwie, rozmyślaniu o Bogu, i o sprawach ludzkich. Aby mu w tem nikt nie przeszkadzał, całe miesiące spędzał samotnie na pustyni. Aż zaczęło mu się zdawać, że mu się ukazuje Anioł Gabryel i objawia wolę bożą. Z rozkazu też niby bożego Mahomet począł nauczać ludzi, że jest jeden tylko Bóg, którego posłannikiem byli Mojżesz i Jezus Chrystus, a ostatnim jest on sam Mahomet; że niewolno czci oddawać żadnym innym bożkom, ani figurom rzeźbionym, ani obrazom; że nastąpi kiedyś sąd ostateczny, i lu-

dzie źli i niewierni, to jest nie wierzący temu, co przez Mahometa Bóg objawił, zostaną strąceni do piekła, gdzie będą skuci w ogromne ogniste kajdany, karmieni nieznośnem jadłem i pojeni zgniłą wodą. Sprawiedliwi zaś, a także ci, którzy na wojnie za wiarę polegną, otrzymają nagrodę wieczną w raju. Tam będą chodzić w ślicznych szatach z jedwabiu, złota i drogich kamieni, sypiać na wygodnych łóżkach, jeść do syta smaczne rzeczy, pić rozkoszne napoje i żyć wśród swych żon odmłodzonych i pięknych dziewic. Każdemu człowiekowi zawczasu Bóg przeznaczył, co się z nim stanie, więc nie powinien bać się żadnego niebezpieczeństwa. Modlić się należy pięć razy na dzień, a przed każdą modlitwą umywać twarz, ręce i nogi; pościć przez jeden miesiąc w roku, nie jedząc nic i nie pijąc od wschodu słońca aż do nocy; i przynajmniej raz w życiu być przy świętym kamieniu w Mekce. Dziesiąta część zarobku uczciwego, a piąta część mniej godziwego powinna być oddawana na jałmużnę. Niewolno jeść wieprzowiny, pić krwi, ani wina. W okolicy świętego miasta Mekki niewolno wycinać drzew, rwać trawy, zabijać zwierząt nieszkodliwych i wyrządzać żadnej szkody lub krzywdy nawet nieprzyjaciołom. Nauczał też Mahomet, jak mają być sądzeni ludzie prawujący się i jakie kary wymierzać złoczyńcom. Każdemu mężczyźnie pozwala mieć tyle żon i niewolnic, ile wyżywić może, i daje prawo karać samemu swe kobiety. Wreszcie nakazuje szerzyć swoją wiarę nietylko przez nauczanie i namowę, ale i gwałtem, a zabijać tych, którzy jej nie przyjmą i nie zechcą wyrazić wyznania, że Bóg jest jeden, a Mahomet jest prorokiem bożym. Tylko chrześcianom i żydom, jako wierzącym w jedynego Boga, Mahomet pozwala darowywać życie, ale pod warunkiem, żeby byli ulegli i składali daninę.

Przez lat dziesięć nie wiodło się Mahometowi z tą nauką. Zaledwo kilkunastu ludzi ją przyjęło. Ludność lżyła go słowami, ciskała w niego błotem, kamieniami, nie dawała mu wchodzić do świątyni ze świętym kamieniem, a w końcu postanowiła go zabić. Mahomet ratując swe życie uciekł do innego miasta, Medyny i tam dopiero znalazł chętnych uczniów. Było to w roku 622 po narodzeniu Chrystusa. Od tego czasu wyznawcy Mahometa liczą lata. W Medynie znalazło się wkrótce trzystu ludzi gotowych iść wszędzie za prorokiem, wojować dla szerzenia jego wiary i zginąć na wojnie, aby po śmierci otrzymać nagrodę w raju. Mahomet powierzył dowództwo nad nimi jednemu ze swych przyjaciół i wzywał kolejno mieszkańców różnych miast, żeby przyjmowali jego wiarę.

Gdy w pierwszej bitwie udało mu się pobić nieposłusznych, odrazu mnóstwo ludzi przystąpiło do nowej wiary i wojsko Mahometa wzrosło. Po kilku jeszcze bitwach musiała mu poddać się i Mekka, gdzie wnet powyrzucał wszystkie bałwany ze świątyni, tylko sam kamień w dawnej czci pozostawiając.

Wkrótce nawróciła się cała Arabia, i 90 tysięcy ludzi na koniach, uzbrojonych w szable, dzidy i łuki, stało przy proroku, aby nieść przemocą jego naukę do innych krajów. Mahomet rozesłał listy do cesarza greckiego w Konstantynopolu, do rządcy Egiptu i do króla perskiego, żądając, aby przyjęli jego wiarę. Dwaj pierwsi odpowiedzieli mu grzecznie, król zaś perski podarł list i wyrzucił. Mahomet dowiedziawszy się o tem, zawołał: »Tak Bóg podrze królestwo jego.« Wybierał się iść z tłumem zbrojnych do Persyi, ale zachorował i umarł w Medynie, gdzie też został pochowany. Żył lat 61.

Odtąd Arabowie słuchali święcie rozkazów jednego wodza, zwanego kalifem, następcą proroka. Pierwszym kalifem był Abu-Beker, przyjaciel Mahometa i ojciec jednej z żon jego. Ten zebrał wszystkie kawałki nauki Mahometa spisywane przez różnych jego uczniów, a zachowane przez żonę i ułożył z nich księgę zwaną koran. Wyznawcy Mahometa nietylko ją szanują tak, jak chrześcianie ewangelię, ale jeszcze uważają za księgę praw i aż do tego czasu

według jej przepisów sądzą wszelkie sprawy.

W kilka lat po śmierci proroka, Arabowie podzieleni na trzy wojska poszli w różne strony: na zachód do Afryki, gdzie zawojowali Egipt; na północ do Jerozolimy i innych miast w Syryi, które zabrali państwo cesarzom greckim; i na wschód do Persyi, której król po trzydniowej krwawej bitwie musiał ratować się ucieczką z własnego kraju. Arabowie opanowawszy jedne kraje szli dalej. Zajęli całą północną częć Afryki, ztamtąd przeprawiali się do Indyj, a okrętami dostali się nawet aż na dalekie wyspy między Azyą i Australią i tam wiarę Mahometa zaprowadzili.

Panujący nad Persyą wodzowie arabscy, zaczęli z czasem wynajmować sobie do pomocy wojownicze gromady z sąsiedniego Turanu, które też z łatwością wiarę Mahometa przyjęły. Nie na dobre jednak samym Arabom te usługi i nawrócenie się najemników wyszły. Turkom, którzy do owego czasu tylko dla rabunku wojowali, zachciało się teraz większych wojen, aby także wiarę Mahometa szerzyć. A wyruszywszy w świat tak ją szerzyli, że samych Arabów wzięli za łeb, i do tego czasu nad ich krajem panują.

ARTYLERYA POLSKA.

Najpierwsze wiadomości o użyciu armat w Europie pochodzą z r. 1326 we Włoszech, z roku 1340 we Francyi i z r. 1346 w Niemczech. Polska była wówczas na drodze wszechstronnego postępu i rozwoju, nic zatem dziwnego, że Długosz mówi o działach używanych przez Kazimierza Wielkiego w r. 1366 przy oblężeniu Łucka i Włodzimierza na Wołyniu. Jan z Czarnkowa kronikarz polski z owego wieku, opowiada, że podczas oblężenia Pyzdr przez stronników księcia mazowieckiego Ziemowita w roku 1383 puszkarz Bartosza Kosteckiego wystrzałem z działa przebił dwie bramy miejskie i przyprawił o śmierć plebana z Biechowy, który stał na placu miejskim przypatrując się bitwie. Skutkiem tego poddała się załoga, uzyskawszy wolne dla siebie wyjście z armatą, końmi i wszystkiemi rzeczami. Widzimy z tego, że w Pyzdrach r. 1383 »wielka strzelba« była już w użyciu po obu stronach, a więc musiała być w Polsce dosyć upowszechniona i chociaż rodzaju ani nazwy jej nie mamy, ale o pewnej sile pocisków pojęcie mieć możemy. Długosz mówiąc o obleganiu zamku wileńskiego w r. 1390 przez Witolda, podaje, że książę Towciwił, brat Witolda, ugodzony z zamku kulą działową, poległ i w kościele wileńskim pochowany został.

W wojnie z Krzyżakami roku 1410 mieli Polacy armaty i pod Grunwaldem i po tej bitwie pod Marienburgiem czyli Malborgiem, gdzie puszkarz polski tak dobrze wycelował z »bombardy« do filaru w sali zamku malborskiego, że tylko na szerokość dłoni celu chybił, za co się mszcząc Krzyżacy, pewnego dnia wypadłszy z zamku, kilka dział polskich zagwoździli. Pod Łuckiem w r. 1431 działa zwane taraśnicami, ułatwiły Polakom przeprawę na drugą stronę Styru. Od pocisków armatnich runęło wtedy w Łucku kilka wież i znaczny kawał muru. Roku 1433 oblegając Chojnice, Polacy z dział ogromnej wielkości strzelali potężnie i czynili wyłomy. Były też działa w robocie i przy oblężeniu Starogardu i Chojnic w r. 1466 a puszkarz Jan Czech za umiejętne ich użycie został starostą chojnickim. Jan Olbracht w swojej wyprawie do Mołdawii prowadzi parę dział olbrzymich, z których pod jedno zaprzęgano 40 a pod drugie 50 koni. Obok nich ma liczną artyleryę lekką złożoną z taraśnic, haubic i szrubnic, towarzyszących wojsku na łożach dwukołowych. Cała ta artylerya podczas

powrotu do Polski po nieszczęśliwej wyprawie, pozostawiona była we Lwowie a niejaki Dobiesław sporządził spis jej dokładny, któremu wiadomość o niej zawdzięczamy. Pod Orszą w r. 1514 działają armaty wprawdzie dość jeszcze niekształtne, ale wywierające bardzo skuteczny wpływ na los bitwy polowej. Na wojnę pruską kazał Zygmunt I sprowadzić z cekauzu krakowskiego 8 kartaunów i 2 notszlangi, które czynnie się artyleryą »starszy nad armatą« Staszkowski, pokazują, że o zastósowaniu artyleryi do miejsca i czasu miano już bardzo zdrowe wyobrażenia. Następnie wsławili się w tej sztuce Mikołaj Firlej i Kościelecki. Pod Janem Zamojskim w Inflantach, zadziwiał Niemców i Francuzów sztuką puszkarską Paweł Piaskowski. Lanie dział za Zygmunta I-go odbywało się tylko w Krakowie, gdzie król ten pod Kurzą-stopą przy Wawelu

WOJSKO TURECKIE.



Majtek. Kawalerzysta. Żuaw gwardyi.
Oficer syryjskiej piechoty.
Sierżant bat. redif. Oficer jener. sztabu. Piechota liniowa.

przyłożyły do zdobycia Kwidzynia i Hollądu.

Ponieważ sztuka artyleryjska z Włoch i Francyi dostała się najprzód do krajów niemieckich a ztamtąd do Polski, pierwsi więc artylerzyści, czyli jak ich u nas nazywano »puszkarze«, musieli być w Polsce Niemcy, jak w Niemczech Włosi lub Francuzi. W wieku 16-tym polscy puszkarze mieli już sławę powszechną. Bitwy pod Orszą (1514) i Obertynem (1532), gdzie kierował założył ludwisarnię i arsenał czyli cekauz wystawił. Ludwisarzy za Zygmunta I-go mieszkało wielu w Krakowie. Pomiędzy nimi najznakomitszym był Hans Behem, ten sam który dzwon największy w Polsce nazwany Zygmuntem odlał. Był to brat europejskiej sławy odlewacza z Norymbergi Sebalda Behema. Król ceniąc go wysoko, kazał dla niego dom wystawić w Krakowie. Za Zygmunta Augusta widzimy ludwisarnie we Lwowie i Wilnie. Ludwisarzem tego

króla w Wilnie był Szymon Bochwic. Młyn prochowy znajdował się pod Krakowem w Czujewicach, zapewne siłą rzeczki Prądnika poruszany.

Niektóre działa i moździerze dochodziły olbrzymich rozmiarów. Stefan Batory, który był wielkim znawcą sztuki wojennej, wymyślił jakieś rozpalone kule po 200 funtów ważące. Wiele dział odlewano kunsztownie, ozdabiając herbami, napisami i rokiem. Największym nadawano nazwiska podobnie jak dzwonom. W ówczesnych inwentarzach cekauzów królewskich znajdujemy następujące nazwy armat: Jaszczurka, Smok, Lew, Łabędź, Bazyliszek, Panna, Sokół, Kobza, Augustus, Witold, Zygmunt, Dziad, Boba, Słowik.

Wiele dział służyło do strzelania kulami kamiennemi a zwłaszcza największego kalibru, żelazo bowiem było stósunkowo znacznie droższe niż dzisiaj a środki do utrzymania artyleryi mniejsze. W Polsce bowiem królowie obowiązani byli wszystkie wydatki na artyleryę z własnej ponosić szkatuły. Największe z dział polskich ważyło 111 centnarów, kule zaś kamienne do dział: Zygmunt, Witold, Dziad i Baba miały wagę od 130 do 140 funtów. Trzy największe zbrojownie królewskie (w Krakowie, Tykocinie i Wilnie) liczyły razem około 500 dział, których liczba znacznie się potem powiększyła gdy za Zygmunta III-go zdobyto w Smoleńsku 300 armat. Na każdym zamku, gdzie znajdowały się armaty, utrzymywano odpowiednią liczbę puszkarzy a w wielu zamkach także i kamieniarzy do obrabiania kul kamiennych.

WOJSKO GRECKIE.



Oficer piechoty. Strzelec. Trębacz. Kawalerzysta. Piechota liniowa. Majtek. Konna artylerya.

Oprócz artyleryi królewskiej istniała w Polsce artylerya miejska. Nie tylko Kraków, ale Lwów, Poznań i inne miasta posiadały pewną liczbę dział i broni wszelakiej, oraz zapasy amunicyi do obrony swych murów. Lwów pod względem armaty równał się z Krakowem, a może nawet go przewyższał, na-

rażony bowiem na napady tatarskie, tureckie i kozackie, sam bogaty i handlowy, stał się wierną i nieustraszoną strażnicą Rzeczypospolitej od wschodu. Magnaci polscy budując zamki i fortece miewali także własną artyleryę. Zamość Zamojskich w Koronie a Lachowicze Sapiehów na Litwie należały do fortec pierwszorzędnych. Wszystkie armaty Zamojskich odlewane były z ich herbem i cyframi. Zamki pograniczne Rzeczypospolitej zaopatrzone były w pewną liczbę dział, kul, prochu, saletry, siarki, ołowiu i różnych narzędzi artyleryjskich. Przełożonym nad artyleryą i puszkarzami, czyli jak wówczas mówiono »starszym armatnym«, był za Stefana Batorego Bartłomiej Ostromęcki, tytułowany po łacinie »termentorum praefectus«, który był wynalazcą jakiejś machiny piekielnej. Do owych czasów był powszechny w Europie zwyczaj najmowania prywatnych furmanów z końmi pod armaty w czasie pochodów wojennych. W Polsce pociągano niekiedy do tej powinności sołtysów. Na wyprawę zaś w r. 1580 kazał Batory zakupić dla artyleryi swojej 306 koni, aby od nikogo nie była zależną, w czem uprzedził Wielkiego Elektora brandenburskiego, o którym Niemcy piszą, iż pierwszy w Europie wpadł na myśl zaprowadzenia sprzężaju skarbowego pod działa. Przy armatach naszych znajdował się zawsze na wojnie kowal, ślusarz, kołodziej i stolarz, każdy z kilku pomocnikami a także kopacze czyli saperzy, do czego najczęściej piechoty łanowej używano. Gdzie było można, przewożono działa na statkach wodą, n. p. na wojnę inflancką w latach 1601 i 1602 spławiono z Krakowa po Wiśle i Narwi do Tykocina, zkąd razem z działami zabranemi w zbrojowni tykocińskiej wieziono przez Wilno do Inflant. Siarkę i saletrę zakupowano w Krakowie, Lwowie, Jarosławiu, Lublinie i prowadzono do Wilna, gdzie były na proch przerabiane.

W ogóle przy ówczesnym stanie zaludnienia, produkcyi spożywczej, braku poczt i przy nadzwyczaj złych drogach, każda wojna i wyprawa wymagała daleko większych poświęceń, trudów, pracy i energii niż dzisiaj. Wyrobem prochu, laniem kul i przysposabianiem niektórych zapasów wojennych, najwięcej zajmowali się mnisi po klasztorach. Bielski doradzał nawet, żeby w razie wojny do obsługi armat werbować braciszków zakonnych.

Po świetnych czasach Batorego, artylerya za Zygmunta III-go podupadła. Dopiero dźwignął ją i rozwinął Władysław IV. Sejm roku 1637 uchwalił na potrzeby artyleryi nową kwartę czyli opłatę kwarty zdwojonej. Zarząd zaś poruczono Pawłowi Grodzickiemu z tytułem »starszego nad armatą». Grodzicki był fachowo wykształcony kosztem Sieniawskiego w Holandyi i całkowicie odpowiadał swojemu stanowisku. W roku następnym takiegoż przełożonego otrzymała artylerya litewska w osobie Mikołaja Abramowicza. Władysław IV nadał całej artyleryi organizacyą wojskową i przepisy pod nazwą artykułów (ogłoszonych r. 1634 w obozie pod Smoleńskiem). Miejsce po Grodzickim zajął wezwany przez króla Władysława, wsławiony w służbie holenderskiej na obu półkulach ziemi Krzysztof Arciszewski, uważany za wynalazcę pontonów czyli mostów łodziowych ulepszonej konstrukcyi. Po Arciszewskim urząd generałów artyleryi sprawowali ludzie zdolni i wykształceni w swym zawodzie, jak Zygmunt Przyjemski, Paweł Grodzicki, Fromhold i nareszcie Marcin Kącki. Generałem artyleryi litewskiej za Jana Kazimierza był Judycki. W bitwach pod Kircholmem, Kłuszynem, Smoleńskiem, Beresteczkiem, Chocimem, Żórawnem, Wiedniem i wielu innych, artylerya polska przyczyniła się do świetnych zwycięztw. Pod koniec 17-go wieku stała jeszcze ona na równi z artyleryą państw europejskich. Kraków posiadał 57 dział rozmaitych. W zbrojowni lwowskiej r. 1692 było 22 armaty, 14 moździerzy, oprócz dział stojących w basztach miejskich. Sporo armat znajdowało się w Lubomli, Malborgu, Pucku, Białej-cerkwi, Stryju, Drohobyczu, Samborze, Trębowli,

Zamościu, Brodach, Jarosławiu, Przemyślu i Haliczu, gdzie nawet odlewano działa i kule. Atoli z początkiem 18-go wieku przyszła na artyleryę polską klęska, która odrazu pogrążyła ją w upadku. Waleczny Kącki był już starcem sędziwym, gdy Karol XII-ty korzystając z rozdwojenia narodu za Augusta II-go Sasa i Leszczyńskiego, ogołocił z machin i narzędzi wszystkie ludwisarnie polskie i razem z najpiękniejszemi działami uwiózł do Szwecyi, a resztę dział, gdzie je tylko znaleziono, prochem kazał rozsadzić. Po tym ohydnym rozboju, w artyleryi polskiej pozostało wszystkich armat przeróżnego gatunku tylko 265 i moździerzy 19. Pierwszy początek ku odrodzeniu artyleryi dał Henryk hrabia na Ocieszynie Bruehl, minister Augusta II-go, generał infanteryi i fachowy artylerzysta. Zaczął on reformować i porządkować ją podług najnowszych wzorów zagranicznych. Dopiero atoli za Stanisława Augusta dźwignięto z gruzów działolejnię warszawską, która założona przez Władysława IV-go, obrócona była w perzynę przez Karola XII-go. Robota szła dość pilnie i w r. 1775 Polska miała już 41 dział ze śpiżu, polowych, nowego systemu, 12-6- i 3-funtowych. W r. 1791 Polska posiadała w swej artyleryi wszystkich dział 329. W r. 1794 podczas oblężenia Warszawy w czasie wojny Kościuszkowskiej korpus artyleryi polowej liczył artylerzystów na bateryach, w arsenale, ludwisarni i w pułkach działających w polu razem ludzi 3204. Prócz tego w artyleryi fortecznej w Kamieńcu 441, w Częstochowie 175 i Krakowie 143. Dzielny jenerał artyleryi, poeta i republikanin Jasiński, znany z wypadków w Wilnie, poległ wówczas podczas szturmu Suworowa do Pragi.

POTĘGA MODLITWY I JAŁMUŻNY.

LEGENDA.

Przykładów cudownych jest w księgach bez liku
Co z modłów, z jałmużny, ma dusza i ciało;
Opowiem wam jeden o biednym górniku,
We Francyi to było, a tak się to stało:
W kopalniach głębokich pracując z innymi,
Gdy głazy kruszczowe rwie młotem ze stali,
Urwisko okropne z łoskotem się wali
I grzebie go żywcem wśród mrocznych podziemi.
W popłochu i zgrozie tłum pierzchnął strwożony
I biegli druchowie ze smutną nowiną
Do krewnych górnika, szli z płaczem do żony,
Co wdową została z sierotą dzieciną.
Płakała nieboga, płakała dni wiele,
A wierna za grobem mężowskiej pamięci,
By duszę mu wspomódz, co tydzień w kościele
Modlitwę, jałmużnę, zbawieniu jej święci.
Rok minął a wiernie szły modły i dary;
Raz tylko, gdy trudy znękały ją mnogie,
Śród troski zabyła najświętszej ofiary
I z chlebem nie wyszła obdzielać ubogie.
Rok minął. Górnicy przy pracy jak wprzody;
Wstrząsają podziemia toporów ich razy
I walą się skały skruszone na głazy
I coraz to nowe powstają przechody.
Aż nagle głaz jeden zajęczy pod ciosem,
Jak gdyby pierś ludzka ozwała się żywa,
I niby się modli żałośnym wciąż głosem
I niby zaklina, ratunku przyzywa.
I puszczą z rąk młoty zdumione górniki
I wzrokiem trwożliwym powodzą dokoła;
A z głazu wciąż idą i jęki i krzyki
I coraz wyraźniej głos ludzki zeń woła.
Więc jeden i drugi do skały się schyli
I ucho badawcze troskliwie przyłoży;
I na twarz tłum cały upadnie po chwili,
Bo wielki się iści przed nimi cud Boży...
Do dzieła co prędzej! Głaz runął!... O dziwy!
Z podziemnej jaskini towarzysz ich miły,
Z radosnym okrzykiem wypada k'nim żywy
I pełen rzeźwości i zdrowia i siły.
Więc biegli do wioski, do dziecka, do żony,
I tłumy się zeszły do chaty górnika.
Zmartwychwstał! — wołają, — wskrzeszony! wskrzeszony!
I podziw i trwoga im dusze przenika.
I oczom nie wierzą i każdy go pyta,
Jak wytrwał rok cały w grobowym swym sklepie,
Gdzie jasność słoneczna źrenicom zakryta,
A pokarm i napój żywota nie krzepi?
— »O, bracia, — odrzecze im górnik, — cud Boga!
I chlebem mię karmił i światłem weselił,
Gdy głaz mię zwalony ze światem rozdzielił,
Gdy w oczach stanęła wybladła śmierć sroga,
Gdy piersiom, zbolałym wołaniem daremnem,

Oddechu już zabrakło; gdy w grobie swym ciemnym,
Szalony, chcąc skały rozwalić, pięść krwawię,
Gdy wreszcie upadam bez duszy już prawie
I myślą ostatnią przed Bogiem się korzę,
Blask dziwny, a miły, a wdzięczny jak zorze,
Napełni mi nagle grobową jaskinię
I w postać anielską, promienną wnet płynie.
A ledwiem nań podniósł zdumioną źrenicę,
Już zniknął cudowny zesłaniec ów nieba:
Ujrzałem już tylko płonącą gromnicę
W otchłani mej głuchej i spory kęs chleba.
I minął tak tydzień, jak mniemam... O Chryste!
Włożyłem już w usta ostatnią kruszynę,
Na knocie tlą jeno iskierki już mgliste...
Już gasną... i w mroku i głodzie zaginę!...
Lecz znowu w mą straszną grobową ciemnicę
Zawitał promienny zesłaniec ów z nieba,
I znowu mi przyniósł, jak wprzódy »kęs chleba«,
I znowu mi przyniósł płonącą gromnicę!
Rok cały tak minął, raz tylko w tym roku
Gość drogi mię rzucił bez chleba śród mroku,
I tydzień upłynął, nim w otchłań grobową
Z pokarmem i światłem otuchę wniósł nową.
Tak skończył, a resztę zdumienie i trwoga
Jak kłosy na niwie po ziemi wiatr ściele;
Bo wszyscy to wiedzą, jak wdowa niebogа
Co tydzień z modlitwą stawała w kościele.
Więc jej to gromnicę przyjmując Bóg mile,
Mężowi słał w otchłań przez swoje Cheruby,
Jej chlebem cudownie go żywił w mogile,
Ofiarą wydźwignął z ostatniej zaguby!...
Bo szczera jałmużna, z modlitwą wespoły,
Złożona przed Bogiem za bliźnich w ofierze,
Dosięgnie ich cudem, gdyż Bóg ją odbierze
I pośle im pomoc przez swoje Anioły.

Adam Pług.

NA STEPIE.

Na pograniczu obu stref umiarkowanych, od górzystego trzonu i płaskowyżyn środkowej Azyi aż do Karpat, ściele się pas stepów. Ciągną się tu nieprzerwanym łańcuchem ze wschodu na zachód: stepy turańskie i kirgiskie, nadwołżańskie i kałmuckie, kozaków dońskich, chersońskie i ukraińskie, i kończczą się nad Dniestrem stepową krainą Podola i stepem besarabskim.

Na całym tym obszarze, któremu słońce skąpi ciepła w zimie, a wiatry odmawiają deszczu w lecie, spotykamy gaje i lasy tylko nad rzekami, gdzie obfitość wody w ziemi zastępuje im niedostatek wilgoci w powietrzu. Po jarach nadrzecznych kryją się też wsie i futory ukraińskie w cieniu sadów, a po nieprzejrzanych równinach płyną złotemi falami łany zbożowe i czołgają się długie, wąsate łodygi roślin dyniowatych, arbuzów, melonów i kawonów, które to ostatnie zastępują nieraz spragnionemu wędrowcowi wodę swojem soczystem jądrem. Ale gdzie człowiek nie uprawił stepu i nie przerobił go na rolę i gdzie rzeka nie zwilża spękanej posuchą ziemi, tkają jego szatę przeważnie tylko rośliny trawiaste i cebulkowate, kończące prędko okres wegetacyi i wytrwałe na długie posuchy. Trawy bowiem nie rozmnażają się jedynie z nasienia, lecz ich łodygi i włókniste korzenie, chociażby je na pozór zupełnie spaliła długa posucha, odmładzają się, jak tylko je zwilży deszcz; cebule zaś okrywają mięsiste łuski, których chociaż kilka wierzchnich zeschnie, to pozostałe wewnętrzne ochronią zaród życia w wypustku środkowym. Pomiędzy trawą do pasa wysoką pstrzą się więc kwiaty lilii, mieczyków i tulipanów. Miejscami ciągną się gęste komysze (zarośla) tarniny, białym obsypanej kwiatem, i czerwienieją ostrowy wielkolistnych łopianów, których grube, twarde łodygi wycinają i suszą mieszkańcy stepu, używając ich w braku drzewa za paliwo; a miejscami, gdzie, wśród stepu wody deszczowe i z polnych potoków, w lecie wysychających, zbierają się w grząskie jeziorka i błotne bałki (kałuże) szumią wielkie jak lasy zarośla oczeretu.

Ku końcowi marca, gdy nastanie ulewa wiosenna, dopieka już słońce mocno na stepowych równinach czarnomorskich. Lekkie białe chmurki snują się po niebieskim stropie; skowronki wzlatują, dzwoniąc pieśń wiosenną, górą ciągną stada i klucze przelotnych ptaków i dzień i noc słychać w powietrzu ich głosy, zwiastujące porę odrodzenia. Rzeki wystąpiły, łąki przemieniły się w jeziora,

wszystkimi jarami i wypłóczyskami szumią mętne potoki deszczowe, a niskie kępy na rzekach znikły w wezbranej wodzie, nad którą sterczą tylko gałęzie drzew i wysokie skaliste ostrowy. Zaledwie spadły wody, wytryska z napojonej niemi ziemi życie roślinne, jak za dotknięciem rószczki czarodziejskiej; zżółkłe trawy zeszłoroczne i zczerniałe szkielety łodyg okrywa nowy kobierzec zielony, nowem haftowany kwieciem i w pierwszym miesiącu letnim step cały, w nowe barwne przystrojony szaty, przepełnia wonią powietrze i wygląda jak

. . . . . suchego przestwór oceanu;
wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi
śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi.

O południu sypie słońce żarem z bezchmurnego nieba na ten suchy ocean; milkną wszystkie głosy, kryje się wszelkie życie w komysze i oczerety i step uśpiony i oniemiały ścieli się przed okiem znużonego wędrowca martwą płaszczyzną bez końca, bez oddechu, bez ruchu; tylko powietrze rozpalone drga i migoce milionami drobniutkich gwiazdeczek, jakoby deszczem ognistym. Na wierzchołku kurhanu siedzi nieruchomy orzeł stepowy, jakoby na straży tych, co śpią tam »na wieńcach swojej starej sławy,« w powietrzu zawisł na rozpostartych skrzydłach krogulec, a na szlaku ubitym przed wieki kopytami tatarskich zagonów, który wije się wężem po bezbrzeżnych równinach i ginie w dali w zaroślach bużanów, rozłożył się na południenek tabor czumaków, wiozących na maziach skrzypiących sól, którą wymieniali za zboże w portach czarnomorskich. Znużone woły pokładły się w trawę drzemać i odżuwać, a w cieniu wozów siedzą czumaki w koszulach wysmarowanych mazią i w wysokich czapkach baranich, i paląc krótkie fajeczki, błądzą zadumanem okiem po stepie bez granic i marzą, marzą o tem, że niema raju nad step, niema życia nad czumacką włóczęgę, niema większej rozkoszy nad gałuszki (kluski) omaszczone słoniną! Ale po zachodzie słońca, gdy noc zapadnie i szafirowe niebo milionami roziskrzy się gwiazd, budzi się step ze snu. Roje owadów brzęczą w powietrzu, ze wszech stron odzywa się bicie przepiórek, z komyszów wymykają się dropie żerować na łanach, w ślad za nimi wykrada się lis polować na myszy, norniki i chomiki i siwy wilk wychodzi z oczeretów, a górą przelatują z szumem i świstem stada wodnego ptastwa, ciągnąc na jeziora stepowe i po głuchej ciszy dziennej rozbrzmiewa step tysiącem szmerów, dźwięków i głosów, zlewających się razem w jeden wielki koncert nocny, który grają i ziemia i wody i niebo.

We wrześniu widać po ścierniskach sterty wielkie jak domy, a po dzikich polach szumią zżółkłe trawy i trzeszczą zeschłe badyle, i step w jesieni staje się podobnym do umarłej z pragnienia żółtej pustyni, której jest przedsionkiem, jak blada tundra umarłej z zimna białej pustyni podbiegunowej. Tylko nad rzekami i jeziorami zielenią się jeszcze zarośla oczeretów, które żegna odlatujące do cieplic ptastwo, a po wierzchowinach wypalają mieszkańcy suche chwasty i nocą świecą dokoła łuny pożarów. O południu jeszcze dopieka słońce, ale wieczorami i porankami już chłodne mgły ścielą się po ziemi, a w październiku już ciężkie, czarne chmury rozsnuwają się po sklepieniu niebieskiem, zakrywają słońce i wiążą niebo z ziemią deszczu strugami.

W zimie wyglądają stepy czarnomorskie jak tundry sybirskie i nic nie widać dokoła tylko lody i śniegi. Na te białe pustkowia, połyskujące w słońcu jakoby kryształowym posypane proszkiem, spada często ze wschodu wściekły orkan, unosi w powietrze chmury śniegu, nawiewa zaspy wielkie jak góry, wypełnia jary i wypłóczyska i zasypuje drogi i kurhany. Dziki ten przybysz z pustyń azyatyckich, szaleje całymi dniami po stepie i jakoby rozgniewany, że spotyka na nim sadyby ludzkie, które śmią stawać mu w drodze, uderza na nie z wściekłością, trzęsie oknami i drzwiami, zrywa dachy, wywraca kominy i całe chaty zagrzebuje w śniegu.

KSIĄDZ JEST!

(URYWEK Z POWIEŚCI RODZIEWICZÓWNEJ.)

Służący wszedł do pokoju ośnieżony, zdyszany i zawołał:

— Ksiądz jest... widziałem go!

— Gdzie? jakiego? kiedy? porwali się wszyscy.

— Ksiądz nasz. Widziałem w Kurhanie. Może dwa dni zabawi, bo dalej jedzie, gdzie przeznaczony. Więc zawróciłem konie i pędem gnałem. Nawet nic nie jadłem. Obecni spojrzeli po sobie z radością a sędziwy gospodarz rzekł:

— Kto ma jakie Sakramenta do odbycia, niech się spieszy.

Marya szepnęła:

— Muszę iść na wieś. Nie jedni my tu przecie tęsknimy za modlitwą, mszą świętą, sakramentami, czekają wszyscy biedni mieszkańcy i tu osiedleni, trzeba im dać znać.

— Ja pójdę, — odrzekł Antoni. — Najszczęśliwszy, poniosę im wieść szczęśliwą.

Przez śpiącą, cichą wieś krok się rozległ spieszny. Do niektórych chat człowiek zachodził, w okiennice pukał mocno, budził stroskanych, biednych, smutnych. Senne, powolne głosy pytały... Co tam? a głos silny odpowiadał:

— Ksiądz jest! ksiądz jest!...

I wnet w chacie błyskało światło, sen odlatywał z powiek, ciężkość z serc.

— O Jezu! ksiądz... ksiądz jest! — odzywały się głosy męzkie, kobiece, dziecinne!...

A krok rozlegał się dalej ulicą, niosąc dobrą wieść.

Po chatach zapalały się światła, ruch się czynił, ujadały psy, skrzypiały wrota stajen, ludzie przemykali się po ulicy.

— Słyszycie? Ksiądz jest w Kurhanie?

— Józef! żywo sanie wyciągać!

— Maryniu! a dziecko dobrze w pierzynę otul!

— Stary! a nie pal fajki przed spowiedzią.

— Kazik! okrzątnij się do ślubu. Ojcowską obrączkę zdejm z obrazka.

— Czem my księdza obdarzymy?

— Dla kaleki Skotnickiej, żeby święconej wody nie zapomnąć.

— Jest ksiądz! ksiądz jest!... tak powtarzają głosy po wsi i suną sanki po śniegu skrzypiącym...

Przed pocztową stacyą, gdzie ksiądz się zatrzymał, ścisk był jak na jarmarku. W stancyi dusili się ludzie. Niesiono małe dzieci do chrztu, dopominał się każdy spowiedzi, dziesięć par czekało na ślub, a każdy do księdza się cisnął i płakał i na mszę świętą grosz dawał i różne prośby składał. Ksiądz podróżą wyczerpany chwiał się na nogach, to bladł, to czerwieniał, ale siłą woli się trzymał. A spieszyć się trzeba było, bardzo spieszyć. Zresztą ludzie cierpliwi byli. Odbywszy spowiedź, szli w kąt, modląc się głośno. Czekali do wieczora na Komunię św., ale odejść nie chcieli. Czekali też cierpliwie nowożeńcy, wszyscy skupieni, poważni, nawet dzieci przy chrztach nie krzyczały głośno!...

Drugiego dnia, gdy parę godzin czasu zostawało tylko księdzu, na śluby kolej przyszła. Nie było zapowiedzi, nie było i orszaków. Jedne po drugich przystępowały pary, niektórzy i obrączek nie mieli i jąkali się w odpowiedzi. Zakładano już konie, gdy ksiądz żegnać ich począł i błogosławił krzyżem. A wreszcie wychodząc do sani, co na niego czekały, błogosławieństwo Chrystusowe odmawiał i odmawiał wciąż odjeżdżając, oddalając się, niknąc. Tłum pozostał ścigając go wzrokiem, uchem, wreszcie w myśli... nie jedni płakali.

Tak to w Syberyi, w cichej wiosce, wita lud księdza, gdy zjawi się na dzień — dwa dni... Tak to tam wygnańcy posieleńcy, tułacze cisną się i garną do dłoni kapłańskiej, by odebrać błogosławieństwo w Imię Boże!...

ROZMAITOŚCI.

* **Gwarek, Gwarectwo.** Gwarkami nazywano w Polsce górników a gwarectwami ich cechy, bractwa czyli stowarzyszenia, które brały od królów przywileje na dobywanie kruszców. Pierwszy przywilej tego rodzaju miała wydać w r. 1374 królowa Elżbieta, siostra Kazimierza Wielkiego a matka króla Ludwika i rejentka Polski, dla Gwarectwa olkuskiego. Gwarectwa obowiązywały się zwykle dawać dziesięcinę kruszcu lub też roczny podatek. Za Zygmunta I zaczęły się gwarectwa pomnażać i dlatego król ten postanowił oddzielny wydział pod przewodnictwem komornika górniczego (Camerarius Montanus), który się trudnił wydawaniem pozwolenia i zawieraniem umów z Gwarectwami. Czacki pisał o gwarkach, jak utrzymywali wspólne roboty, jaki między gwarkami i ich zwierzchnikami stosunek panował, jaki podział zysku. W Voluminach legum czytamy, że »gwarkowie, którzy kruszec biorą, bogatsi płacą poboru po złotych 15, ubożsi po 6«. Herburt powiada w Statucie: »Z Korony żadnych towarów nie mają wywozić, krom ołowiu, gwarkowie, albo ci, którzy ołowiem kupczą«. Kochowski pisze po zalaniu kopalni olkuskich:

Już niech nie tęskni upragniona dusza,
Do ziemnych gwarków pełnego Olkusza.

Dziesięcina z kruszcu oddawana królowi przez gwarectwa zwała się »olborą«. Łabęcki wylicza szereg gwarków olkuskich, którzy kopalnie te od królów polskich dzierżawili i znaczne koszta na przedsiębiorstwo swoje łożyli a zasłynęli jako mężowie naukowi. Rozpoczyna ich szereg Piotr Kopernik, dalej znany w dziejach drukarstwa polskiego z końca XV wieku Świętopełk Fijol, Piotr Wapowski, Marcin z Olkusza i wielu innych.

* **Łaźnia.** Marcin Gallus pisze o Bolesławie Chrobrym, iż młodzieńców, których chciał napomnieć lub ukarać, do łaźni królewskiej wprowadzono, a król kąpiących się z nim karał jako ojciec synów. Ze starszymi tylko na słowach się ograniczał, młodszym chłostę do słów dołączał. Stąd poszły przysłowia: sprawić komu łaźnię, dać komu ścierkę. W. ks. Witołd do łaźni prawie chodził codziennie. Jagiełło używał łaźni co dzień trzeci. Papież Eugeniusz IV pozwolił księciu Świdrygielle, aby mógł dla zdrowia nawet w niedzielę łaźni zażywać. Używał częstej łaźni parowej król Zygmunt I i syn jego Zygmunt August. Ale był to ostatni z królów polskich zwolennik tej staropolskiej kąpieli. Po nim Walezy francuz, Batory siedmiogrodzianin, Zygmunt III wychowany w Szwecyi, kąpali się w wannach. Górnicki daje nam taki obraz używania łaźni polskiej w XVI wieku: »W łaźni, jeden się maże gorzałką i mydłem, drugi maścią od urazu, więc ten puszcza bańki, a ów siecze się winnikiem, zasię woła jeden zalej, a drugiby rad, żeby drzwi uchylono« itd. W pamiętnikach XVI wieku czytamy, iż łaźnia publiczna był to budynek drewniany z izbą opatrzoną piecem ulepionym z gliny i kamieni, w którym na ogień kładziono kamienie, a na rozpalone wodę lano, z której para otaczała obnażoną osobę. Łaźnie takie wydzierżawiano balwierzom, kładąc im warunek, aby w pewne dni w roku otwierali darmo dla uczniów szkół i ubogich. Prawo bezpłatnej kąpieli w łaźniach polskich mieli żacy (t. j. studenci) i ubodzy. W wieku XVII słynęła dziwami swego urządzenia łaźnia pińczowska Wielopolskich, której opis wierszowany wyszedł w oddzielnej broszurze. Wodotrysk tak jest w tej łaźni opisany:

Kiedy się tkniesz rzeczy jednej,
Puści się deszcz niepodobny,
Z góry i z ścian, z pawimentu,
I z każdego instrumentu,
Który w sobie wodę nosi,
Co trzydzieści wód przenosi.

Jeszcze w wieku XVII każde miasto polskie, wieś i dwór wiejski miały swoją łaźnię podług odwiecznego sposobu urządzoną. Gdy jednak za Sasów opanowało naród naśladownictwo obyczajów zachodniej Europy, łaźnie parowe staroświeckie wyszły wszędzie z użycia.

* **Najmniejszy kot na świecie.** Do ogrodu zoologicznego w Berlinie przywieziono kota, który został umieszczony w oddziale rzadkich zwierząt. Kot ten pochodzi z wyspy Ceylon, jest wielkości pięści, ale nader zwinny. Przebywa prawie zawsze na drzewach i skacze ciągle po najcieńszych gałęziach, żywi się najchętniej małemi ptakami, które chwyta nadzwyczaj zgrabnie. Rasa tych kotów żyje tylko na wyspie Ceylon; podobny, ale już nieco większy gatunek znajduje się na wyspie Sunda.

* **Podróż naokoło świata.** Grono osób, należących do towarzystwa petersburskiego, jak donosi jeden z dzienników rosyjskich, postanowiło bieżącego lata wybrać się w podróż naokoło ziemi dla przyjemności. W tym celu urządzający ową podróż, książę K., zamówił w Anglii odpowiedni okręt spacerowy, który w Ameryce i Afryce będzie dłużej przystawał w portach, a podczas przystanków, podróżni będą polowali. Cała podróż trwać będzie półtora roku. Do podróży tej zapisało się 28 osób, z których prawie połowa jest kobiet.

* **Parana (w Brazylii.)** Pierwszy polski klasztor w Paranie. W zeszłym roku podano projekt sprowadzenia do Parany zakonów polskich, celem zorganizowania szkolnictwa polskiego. Jako najdogodniejsze miejsce do założenia pierwszego klasztoru polskiego podano

miejscowość St. Mateusz. Myśl jest już dziś bliską ziszczenia. Za przyczynieniem ks. biskupa kurytybskiego wkrótce osiedli się 6 Polaków z zakonu Salezyanów w St. Mateuszu i założy szkołę polską. Budynki na umieszczenie klasztoru są już na ukończeniu.

FRASZKI.

* **Pewien myśliwy** hrabstwa Devon w Anglii, rozkazał w swoim testamencie, aby go pochowano, włożywszy mu w obie ręce łapy lisie, a ogon żeby mu na piersiach przywiązano. Zalecił także, aby w dzień jego pogrzebu, było w sąsiedztwie liczne polowanie, po którem powinna nastąpić wielka uczta a na niej spełniane następujące zdrowia: najpierwsze na pamiątkę nieboszczyka; drugie, polowania; trzecie, wszystkich miłośników tej zabawy; czwarte, mojego konia; piąte chartów moich dobrego gatunku i najlepszych w kraju. Każdemu z zaproszonych zapisał znaczny podarunek i sam przed śmiercią imiona ich spisał.

* **To mu dał.** Pryncypał: Na Boga, panie Dmuchalski, cóż to pan za okropne cygaro palisz?

Pomocnik: Jakto? panie Skąpski, toć to jest jedno z cygar, które otrzymałem od Pana w podarunku na Boże Narodzenie?

* **Wspierający** literaturę i sztukę Arcybiskup, serdecznie ukochał humorystę, który u niego mieszkał i razem się stołował. Razu pewnego poeta zaniemógł troszkę i nie mógł przybyć na obiad. Arcypasterz posłał mu przecie przez lokaja półmisek ryb z żądaniem, aby mu za to wierszem podziękował. Lokaj Ignacy przyniósł odpowiedź następującą:

Za przysłane mi ryby smaczne na półmisku,
Składam najuniżejszy hołd dla Arcybisku —
Pa zaś wtenczas dopiszę, jak sługa Ignacy
Przyniesie mi po rybach i wina na tacy.

* **Jeden oficer** wysłany na nieprzyjaciela z małą siłą, widząc niepodobieństwo pobicia go, wrócił do jenerała i prosił, ażeby z oddziału zleconego mu w dowództwo połowę ludzi odebrać.

— A to dla czego? — spytał jenerał.

— Bo lepiej jest, — odpowie, — że mniej polegnie!

* **Pewien gospodarz** nie mogąc na jarmarku dobić targu z młynarką, która sprzedawała świnię, zawołał chowając kiesę do kieszeni: no kiedy tak, to moje pieniądze, a pani świnia.

* **Skromnie.** Matka: Gdybyś ty tak strasznie obcasów nie wykręcał!

Karól: Ale to jest jeszcze moja jedyna przyjemność, którą mam.

SŁUŻBISTOŚĆ.



1. Tomek, posłany przez podoficera, po obiad, niesie go przez plac musztry, gdzie właśnie inny podoficer żołnierzy ćwiczy.



2. Tomek jest tak przejęty poczuciem posłuszeństwa dla komendy przełożonych, że gdy podoficer na ćwiczących zawołał: halt, Tomek wyprostował się jak struna, — a obiad tymczasem spoczął w — piasku.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Światło

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 20-go Maja 1897. Nr. 20.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Św. Tytus,

biskup wyspy Krety.

W stolicy wyspy Krety sędziwy starzec, ostatni potomek słynnej z dostojności i bogactwa rodziny pogańskich magnatów w ponurem zadumaniu z wierzchołka swego pałacu w prześliczną poglądał okolicę.

Przeniósł się w duchu do Jerozolimy, a myśli jego krążyły ponad Judeą, gdzie Zbawiciel świata, Bóg-człowiek narodowi żydowskiemu świętą głosił naukę i Boskość swoją licznymi stwierdzał cudami.

— Sława nowopowstałego proroka, — rzekł sam do siebie, — nie daje mi spokoju, wzrusza mnie w głębi mej duszy i pragnę dokładniej się o nim wywiedzieć i przedziwną jego naukę poznać.

Wtem wstępuje Tytus, synowiec jego, urodny młodzieniec, celujący w naukach i cnocie a ująwszy czule starca, tak do niego przemawia:

— Ojcze mój, trzy dni temu, jak usłyszałem we śnie głos: Tytusie, chcąc ocalić duszę, porzuć wszystko i udaj się poza morze do kraju Judzkiego, tam znajdziesz zbawienie. Nie mam miru, dopóki nie porzucę bogactw i wygód, któremi mnie obsypujesz i nie pójdę za wołającym głosem.

Starzec pobłogosławił młodzieńca i zezwolił na wykonanie chlubnego zamiaru.

W kościele Jerozolimskim poraz pierwszy ujrzał Tytus Boskiego mistrza i od tego czasu zawsze się w towarzystwie Jego i Apostołów znajdował. Był świadkiem działania Chrystusa, był świadkiem okropnej męki i haniebnej śmierci Jego na Golgocie, był też świadkiem chwalebnego zmartwychwstania i wniebowstąpienia Zbawiciela.

Szczególną przyjaźnią Apostoła Pawła zaszczycony, zasiadywał Tytus w radzie Kościoła Jerozolimskiego, gorliwie nawracał niewiernych, rozsądzał sprawiedliwie sprawy kłótliwe, wzmacniał wiernych, będąc dla nich życia nieskazitelnego i świątobliwego wzorem.

Udał się potem do Macedonii, gdzie w krótkim czasie przez porywającą wymowę swoję, przez głęboką wiedzę i gorliwość tak zasłynął, że św. Paweł zamianował go biskupem Krety, tej samej wyspy, na której się był rodził i gdzie najpiękniejsze lata swej młodości spędził.

To też z tem większem zamiłowaniem Tytus nawracaniem pogańskich swych ziomków się zajął.

Zwiedzając bezustannie miasta i wsie swej dyecezyi, nauczał wiary w Boga prawdziwego, a łaska Najwyższego widocznie na nim spoczywała, gdyż gorliwość zacnego Biskupa obfite dla Kościoła przynosiła owoce.

W zbawiennej pracy duchownej nad powierzonemi swej pieczy owieczkami zasnął święty dostojnik snem wiecznym, a dusza jego uleciała przed tron Najwyższego po zasłużoną nagrodę.

Zwłoki jego spoczywały w Gortynie aż do roku 823, kiedy Saraceni miasto całkowicie spustoszyli. Po spustoszeniu miasta odszukano tylko głowę świętego męża, która do dzisiajszego dnia w Wenecyi w kościele św. Marka się znajduje.

Emigracya polska w Argentynie.

Korespondent z Buenos Ayres pisujący do Kuryera Warszawskiego, w opłakanym stanie maluje tamtejsze stosunki wśród polskich emigrantów.

Tylko w Paranie, powiada on, znajduje się garstka księży polskich, zresztą niema ich nigdzie. Dla kierowników polskiej emigracyi rządy południowo-amerykańskie są nader uprzejme. Dają im bezpłatne bilety kolejowe, spraszają na obiady i obiecują wiele, ale nie zobowiązują się do niczego. To bałamuci łatwowiernych Polaków. Tymczasem rządom chodzi o napływ emigrantów, aby wyzyskać ich pracę.

Religijność polskich robotników jest solą w oku urzędnikom, obawiają się, aby nie żądali sprowadzenia księży i nie świętowali w Niedziele i dni uroczyste. A dają im tylko trzy dni świąt w roku: 25 Maja, rocznicę wyzwolenia Argentyny od Hiszpanów, w Wielki Piątek i w ostatni dzień karnawału. Po za tem praca kamienna i to w upale do 36 stopni dochodzącym, na gołem polu, bez dachów, bez cienia drzew, często bez wody, a wszystko to za marny zarobek, nie dający możności zaoszczędzenia funduszu na podróż powrotną.

W samem Buenos Ayeres — są słowa księdza Grz. — mieszka tylko 180 Polaków. Wybitną postacią między nimi jest p. Józef Białostocki, szlachcic z gub. warszawskiej, profesor w kolegium angielskiem i tłómacz rządowy języka polskiego i rosyjskiego, mieszkający przy »Celle Sante Fe Collegio Inglis«.

Jedyne wpływowe stanowisko wśród Polaków Ameryki Południowej zajmuje dzielny kupiec, p. Michał Laudaski. Słyszałem bardzo gruntowne i stanowcze jego zdanie, że emigrantów polskich należy tu uważać za straconych dla swej narodowości, a wykupienie ich z tamtejszej zależności i powrót do Europy przedstawia zbyt wielkie trudności i koszta.

Wynaradawianie zaczyna się zaraz na wstępie, gdy emigrant polski, wysiadłszy z okrętu, przebiera się w strój amerykański i z pogardą pewną zrzuca polską siermięgę. Dzieci, przywiezione do Ameryki, bawi i zachwyca każda nowość i w lat kilka już im łatwiej mówić po hiszpańsku niż po polsku. Każdy wyrostek polski, zapytany jakiej jest narodowości, wstydzi się odpowiedzieć, że jest Polakiem, ale odpowiada z pewną dumą: »Argentine«.

Robotników polskich widywałem przy uprawie kukurydzy i pszenicy w Argentynie, oraz przy plantacyach kawy w dolinach Brazylii. Żywili się kartoflami, mięsem i makaronem, gotując strawę w garnkach glinianych, pod gołem niebem. Odzież, obuwie i bieliznę sprowadza Ameryka Południowa przeważnie z Europy, a wszystko to jest liche i drogie.

Wytrzymalszymi od Polaków na upały są Włosi, dla tego też bardziej przez plantatorów poszukiwani. Jest też w Buenos Ayres kilka tysięcy żydów, którzy z tym samym, co wszędzie ferworem, trudnią się szacherką, faktorstwem, lichwą, albo żywym handlują towarem. Procedery te uprawiają z całą swobodą, opłacając się policyantom i urzędnikom, w czambuł przekupnym łapownikom, największym z łapowników amerykańkich, których też równych sobie nie mają.

Chłop i djabeł.

Podanie gminne z Wielkopolski.

W jednej z wioszczyn Wielkopolski, lecz któż to wie w której i kiedy — dosyć że w jednej z tych wiosek, żył sobie chłopek pracowity i rzędny. Owoż też w jego zagrodzie nie zbywało na niczem: w stodółce był zboża zapas, w oborze bydełko jak ulane, w domu chleba i miodu sporo, w sakiewce grosz na zawołanie. Ale Tomek (takie jego imię) nie miał przyjaciół, i nawet nie dbał o nich. Lecz co najdziwniejsza, że choć nikomu w życiu najmniejszej krzywdy nie wyrządził i z nikim się nigdy nie zwaśnił, każdy od niego stronił jakby od złego ducha. Sąsiedzi dziwne o Tomku powiadają rzeczy: że na msze, do spowiedzi nie chodzi, że musi z Złym trzymać, boć od Boga nie pochodzi ta jego pomyślność. Wszakżeż i na Tomka przyszedł skweres nie mały. Piorun chatę mu spalił; ledwo wzniósł drugą, gdy nowy kłopot: inwentarz mu wypadł, w polu wszystek plon pognił. Aż tylu nieszczęściami przygnębionego, jakby na domiar wszystkich, ciężka niemoc powaliła o łoże.

Stan kmiotka był opłakany. Uzbierany przez lata pomyślności pieniądz, wyszedł na budowlę, na nowy inwentarz, zakup żywności, nawet i długu nieco zaciągnąć musiał. Lecz wszystko to bez użytku, gdyż ręka gospodarza była bezwładną. On na twardem z desek i troszką słomy posłaniu, coraz to gorzej się miał. Choroba wymagała pielęgnowania; nikt mu go nie niósł, bo każdy nawet próg chaty przestąpić się lękał. Zrazu biedny, jak mógł mocował się z niemocą; lecz wkrótce sił brakło, leżał więc nieporuszony, a śmierć coraz srożej w oczy zaglądać poczęła.

Sąsiedzi nazajutrz z pierwszym zaraz świtem wyszli na robotę. Ale jakież było ich podziwienie, gdy ujrzeli Tomka około chałupy, znów zdrowo i żwawo się krzątającego. Dziwnie potrzęśli głową i szybko odeszli w milczeniu. Za powrotem do domu powiadają im żony, że dziś w północy strasznie świstało i chychotało się około Tomka chałupy, aż włosy na głowie stawały; pewno bies przyszedł po jego duszę, bo pono wczoraj bardzo już źle z nim było. Zwyczajnie, jak proste kobiety.

Nadszedł tymczasem wieczór. Tomek siedział zadumany przed chałupą, kiedy coś strasznie zaszumiało i zahuczało w powietrzu, i ukazał się przed nim djabeł: z końskiem kopytem u jednej, kurzą stopą u drugiej nogi, z długim ogonem, rogami na łbie osmolonym, i z sążnistym nosem na potwornem obliczu. Chłop się wzdrygnął mimowolnie, lecz djabeł rzekł:

— No kmoterku? cóżeś się tak zadumał? czyć jeszcze czego potrzeba?

— O i bardzo, bardzo jeszcze wiele.

— Czegoż więc, gadaj!

— Hanu! pieniędzy; boć oto bieda wszystkiemi dziury zagląda, a nie ma jej czem odegnać, — odpowiedział Tomek drapiąc się głowę.

— To fraszka — odparł djabeł, — tych ci pożyczę, mów tylko ile?

— Przynajmniej, przynajmniej, kumie — zwolna chłop na to, rozkładając rękoma i poglądając w ziemię — ile owo w tę piazdę od koła się zmieści.

— Dobrze; poczekaj chwilkę, zaraz wszystko mieć będziesz kmoterku! — rzekł usłużny djabeł i jak piorun sunął w powietrze, z takim trzaskiem i szumem, że cała wieś zadrzała, a wszystkie grusze w polach i sadach do ziemi się przygięły.

Ledwo chłop koło ustawił, już był djabeł z powrotem, z ogromnym na barkach miechem pieniędzy.

— Gdzież miara kmoterku? bo jestem.

— Dyć oto, oto mój kumie — odpowiedział Tomek.

— Ale tu tak ciemno, kmoterku, ja nic nie widzę.

— Anu, mój kumie, — rzekł znowu chłopek przebiegły; — u światła mogliby nas ludzie zdybać. Trzeba nam już tu pozostać.

— Więc poczekaj!

I rozerwawszy miech, począł sypać w koło. O jakże rozradowało się serce Tomka, gdy posłyszał brzęk złota! Teraz, teraz, to ja dopiero zadrwię sobie ze świata, pomyślał w duszy. Ale w tem coś pociemniało mu w jego myśli, bo się zadumał; lecz spojrzał na błyszczący kruszec, i smutek zniknął. Djabeł tymczasem jak sypie, tak sypie, a piazdy napełnić nie może. Aż zniecierpliwiony krzyknął:

— Pioruńskie, kmoterku, masz koło. Jużem w nie pół miecha wytrząsnął, a jeszcze ni znaku.

— Anu, kumie, zważcie też jeno, że złoto ciężkie i że się usadza.

— Masz racyą, kmoterku. Już się też i druga połowa miecha wypróżniała gdy djabeł raz jeszcze trząsnął i poskoczywszy, z radością zawołał: — Przecież zatkałem. Lecz patrz, kmoterku, jakem odmierzył, żeby też jeden nie został dla mnie! Ale teraz, bracie, kiedyż dług zwrócisz?

— Co do tego, mój kumie, toć już nie prędzej, aż liście z drzewa opadną.

— Dobrze, — rzekł djabeł — ale pamiętaj też i o drugiej ugodzie, którąśmy dzisiejszej nocy zawarli; pamiętaj, że po latach siedmiu i o duszę się będziemy rachować. Bądź zdrów tymczasem.

Tomek zadrzał na to wspomnienie, począł szczerze żałować za czyn, który popełnił, kiedy jednak doń złoto tak rażącym i tak miłym zaśmiało się blaskiem, znów o wszystkiem zapomniał. Uniósł z zapałem koło, i tu dopiero nieokreślona rozkosz owładnęła mu zmysły, gdy dół, nad którym je mimo wiedzy djabła był położył, cały czerwonemi złotemi zapełniony ujrzał.

— Ha, kumie, — wykrzyknął z radości — jam widzę jednak od ciebie mędrszy, choceś ty djabeł, a ja chłop. Kto wie, może się wreszcie i pokwitujemy tak gładko?

(Dokończenie nastąpi.)

Praktyczne rady.

— **Lipowy kwiat świeży** ma nadzwyczaj miły zapach. W północnej Francyi robią z niego bardzo aromatyczny likier, oprócz smaku i lecznicze posiadający własności. W tym celu zbierają świeże rozkwitłe kwiaty lipy i nalewają w butle alkoholem do 85 prc. rozprowadzonym. Po dwóch tygodniach stania na słońcu lub w ciepłem miejscu, płyn zlewa się i mięsza ze starannie przygotowanym syropem z rafinady w takim stosunku, aby na kwartę płynu użyć kwartę syropu z dwóch prawie funtów cukru zrobionego. Po dokładnem wymieszaniu likier filtruje się i zlewa do butelek na przechowanie.

— **Klosze do lamp** z szkła pośrebrzonego jak lustro (zwierciadło) czynią odbijające się światło o 10 razy jaśniejsze i zupełnie białe.

— **Chiński kit.** 6 gramów ałunu (Alaun), 54 gr. proszku z wapna, 40 gr. krwi miesza się i używa jako kit do szkła porcelany, garków kamiennych, marmuru itd., lub rozcieńczony wodą, jako farba do malowania domów, pudełek papierowych i naczyń z papy w których się chce przechować olej lub tłuszcz.

— **Figi są lekarstwem.** Suszone figi oprócz tego, że są smaczne, wywierają też leczniczy wpływ na żołądek i trzewia, to też jadają je ludzie na takie niedomagania, w których objawiają się nieprawidłości w funkcyonowaniu organów wewnętrznych. Również chorym na płuca i zakatarzonym ludziom polecić można jadanie fig. Bardzo skuteczną na piersi herbatą jest wywar zwyczajnego jęczmienia z pięciu lub sześciu figami i garścią rodzynek. Wypijać tej herbaty trzeba kilka filiżanek dziennie.

Rozmaitości.

* **Skutki** uderzenia piorunu. Dwóch chłopców, którzy podczas burzy schronili się pod dach stodoły, ugodził piorun, który także stodołę zapalił i zabił psa, towarzyszącego chłopcom. Przybiegli ludzie znaleźli młodszego na brzuchu leżącego wśród bólów się wijącego, podczas gdy starszy leżał na wznak bez objawów życia. Podczas transportu przyszedł do siebie. W godzinę po wypadku znalazł lekarz obu chłopców przytomnych i lamentujących na ogromne bóle. U młodszego lewa górna i dolna kończyna, lewa strona piersi i brzucha, cały grzbiet, lewy policzek i lewe ucho jużto zaczerwienione, już pęcherzami przykryte, w okolicy podżebrowej lewej miejsce czarnoszare, twarde jak skóra. U starszego były obrażenia więcej po prawej stronie i polegały na wielkiej ilości punktowatych głębokich obrażeń skóry, jak po strzale śrutowym z większej odległości. Stan ogólny u obu zresztą dobry, brak porażeń, narządy zmysłowe nienaruszone. Działanie błyskawicy więc nie było elektryczne, nerwy wstrząsające, lecz zwęglające. Wyzdrowienie u obu, u starszego po 14 dniach, u młodszego dopiero po 10 tygodniach, ponieważ nastąpił groźny zapad i rozwinęła się zgorzel skóry w okolicy podżebrowej.

* **Okręt** »Cesarz Wilhelm Wielki«, który spuszczano na wodę w Szczecinie dnia 4 maja, jest obecnie największym okrętem handlowym na świecie. Długość jego wynosi 190$^1/_2$ metra, czyli przeszło 570 stóp, szerokość 20 metrów. Oprócz dwóch głównych maszyn posiada okręt 68 maszyn pomocniczych i 18 kominów. Co dzień pali się na okręcie około 10,000 centnarów węgli. Z powodu udoskonalonej konstrukcyi wynosi szybkość biegu »Wilhelma« 5$^1/_2$ mili na godzinę. Załoga okrętowa liczy 450 ludzi, z tych 208 pracuje przy maszynach. Okręt obliczony jest na umieszczenie 1540 podróżnych.

* **Katastrofa w Teheranie.** Pisma perskie donoszą o strasznym wypadku w Teheranie. Runął tam nagle budynek łaźni kobiecej i pod gruzami zginęło kilkaset kobiet. Dokładnej liczby ofiar oznaczyć niepodobna, gdyż podług ustaw proroka, zakazujących obcym mężczyznom patrzeć na obnażone ciała kobiet, dopiero po upływie lat 30, gdy ciało ulegnie rozkładowi i pozostaną tylko kości, wolno będzie odkopać zwaliska.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G.-Ś.